

Omiłjanowicz Kazimierz

1/ Tajemniczy Gwizdun

2/ Kozia nóżka

3/ Mozguniowy dziadek

Weszło dnia 4. IX. 1953.
L: 2892/53/4901.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam Panu w załączeniu trzy opowiadania pochodzące z regionu suwalskiego opowiedziane przez mieszkańców ze wsi Pertanė. Te i podobne opowiadania krążyły od wielu lat (chyba po prostu XIX w.) we wsi. Nie wiem jakie wartości mogą te materiały z punktu widzenia etnografii, mnie osobiście zaintrygowały bardzo ze względu na literackie. (Pied kilkanaście laty skończyłam polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim). Występuje w nich zdaje się oryginalne i rzadko spotykane motywy i ich kombinacje. Poza tym wiem, że naszym wsi i jezior są autentyczne (znam je z autopsji). Nie sięgaję w tej chwili na żadną analizę, przesyłam je prosto Panu do oceny i, jeśli uznacie wypadek, że przysługują, do opublikowania tych opowiadań. Czy mogą być one drukowane w „Ludzie” czy gdzieś indziej nie orientuję się i porostaję z decyzją Pana.

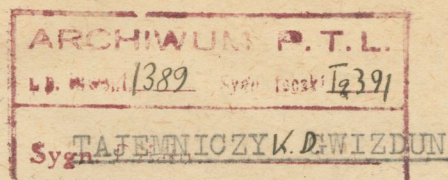
Zdanie Pana na temat wartości tych opowiadań bardzo mnie interesuje i wdzięczna byłabym bardzo za kilka słów odpowiedzi.

Porostaję z szacunkiem

mgr Celine Sokowa

Łódź, ul. Zielna bl. 10 II kl. m. 16

Łódź, 4. IX. 1953 r.



Weszło dnia 7. IX. 1953
L: 2891/53/640.

Na zachód od Omułówka wznosi się pagórkowata wyżyna, na której leży wieś Kleszczewo. Przed laty stał tu nad brzegiem Kamionki ładny domek z zielonym ganeczkiem. Mieszkała w nim Agnieszka z małą córeczką Zosią. Mąż Agnieszki był w Ameryce i słał jej grube dolary. Oprócz tego miała kilka morgów urodzajnej ziemi, tak, że chleb ją, jak to się mówi, rozpierał. Kobieta była młoda, przystojna i prowadziła życie cnotliwe. Na zaczepki chłopaków odpowiadała hardo i niejednen zalotnik dostał porządnie po pysku. Chodził potem ze spuchniętą gębą utrzymując, że go pszczoły pogryzły. Agnieszkę szanowano ale nie lubiono jej. Dziewczęta zazdrościły jej urody, starsze gospodynie bogactwa a mężczyźni poprostu bali się. Rzadko kiedy ktoś zachodził do domku z zielonym ganeczkiem.

Pewnego razu pod wieczór wyszła Agnieszka na pole rwać zielsko dla świń. Niedawno spadł był deszcz i zboże nasiąkło wilgocią. Ażeby nie zamoczyć spódnicy podniosła ją wyżej kolan i upięła za pasem. O tym właśnie czasie przychodziło drogą dwóch nieznanym wędrowców. Ubrani byli z miejska: czarne marynarki i także kaszkiety, długie wyglancowane buty. Wyszli z lasu i kierowali się drogą na wschód. Jeden z nich zwrócił się do Agnieszki w sposób żartobliwy:

- Ej, gospośiu śliczna podnieśno spódniczkę nieco wyżej.
- Agnieszkę porwała pasja na te ordynarne zaloty. Zarzuciła kieckę na plecy i pokazawszy przechodniom bezwstydnie obnażony tyłek, odparowała hardo:
- O masz, tu pogwiżdż...
- Pogwiżdżę tobie - pogroził wędrowiec

Gdy o zmierzchu wróciła Agnieszka do domu i krzątała się koło wieczerzy, usłyszała nagle za kominem monotonne gwizdanie - ni to pojękiwanie wiatru koło węglów chaty, ni to zwiastujące śmierć wycie psa. Zrazu pomyślała, że to wiatr, który płata

czasem podobne figle. Ale na dworze było cicho a gwizdanie rozlegało się coraz wyraźniej. Wtedy powstał w niej lęk. Sprowadziła sąsiadów, którzy obejrzelili wszystkie zakamarki, a nie znalazłszy nic pokiwali głowami i poszli. Agnieszka została sama. Gwizdanie trwało bez przerwy zarówno w nocy jak w dzień. Ludzie poczęli głośno gadać o niesamowitym wypadku. Raz z ciekawości zaszedł Żyd - szmaciarz.

- Nu, dzień dobry. Co tu u was słyhać - zaczął od proga.

- Tu, parchu, trzeba pochwalonego mówić - huknęło za piecem.

Czyjś niewidzialne ręce chwyciły Żyda za brodę i cisnęły nim o uszak. Żyd narobił gwałtu i krzycząc o mordzie umykał ze wsi.

Raz zeszli się gospodarze - sąsiedzi, aby poplotkować, poradzić, a nade wszystko na własne uszy usłyszeć złośliwego gwizdacza. Zasiedli na łóżku i rozpoczęli gawędę. Nie podo- bało się to gwizdunowi z za pieca - łóżko z gośćmi uniosło się pod sam pułap, chłopci podnieśli ~~wielki~~ wrzask, łóżko upadło wysypawszy na podłogę żywą zawartość, a za piecem roz- legł się złośliwy śmiech. Sąsiedzi porwawszy czapki uciekli i więcej już nie zaglądali do Agnieszki, która marlała z dnia na dzień. Wreszcie uradzono, żeby zaprosić księdza. Gdy święconą wodą wykropi się izbę, zły duch sam się wyniesie. Przyszedł ksiądz ubrany w kościelne szaty, a umoczywszy w święconej wodzie kropidło, odezwał się uroczyście:

- Wszelki duch Pana Boga chwali.

- I ja chwałę - ryknęło za piecem. Miotła sama ruszyła z kąta i umoczona w wiadrze z wodą pokrapiała księdza i chatę. Pro- boszcz uciekł i odtąd nikt już nie odwiedzał Agnieszki. Została sama z małą Zosią i wiecznym gwizdaniem za kominem. Wyszła na szczapę, aż wreszcie zmarła.

Gdy zwłoki odwieziono na cmentarz, domek z zielonym gan- kiem spłonął w nocy doszczętnie.

Spisał Kazimierz Omiljanowicz

Weszło dnia 5. IX. 1953
2843/53 / 1044
L:

K o z i a n ó ż k a

A. B. C. D. E. F. G. H. I. J. K. L.	
LD. N. 1389	T. 391
Sygn.	K. D.

Na północ od Dębowej Kłody widniało piaszczyste wzgórze. Niedaleko zaczynała się już Litwa gdzie mieszkali "saki-pasaki", jak mówiono w Dolinie Siedmiu Jezior.

W Jeglińcu, jednej ze wsi leżącej u stóp wzgórza mieszkała przed laty młoda, przystojna dziewczyna - Franusia Kozłowska. Miała ona starych rodziców i dwóch dorosłych braci. Franusia była wesoła, pracowita i towarzyska. Umiała tkać ładne kilimy i obrusy i bardzo lubiła tę robotę. Często, zwłaszcza dżdżystą jesienią do późnej nocy przesiadywała przy krosnach. Pewnej soboty wieczorem rodziny spała w sąsiedniej izbie a Franusia tkała wzorzysty kilim. Podśpiewywała sobie cichuteńko, żeby nie obudzić czujnie śpiącej matki. Godzina była późna. Może już i północ się zbliżała. Na dworze leżała czarna noc. Czółenko huczało między nitkami osnowy. - Ach jak przyjemnie pracuje się w nocy, jeszcze choć godzinę - myślała Franusia, przebierając nogami po pedałach - ponożach. Obok, w sąsiedniej izbie pochrapywali bracia.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła sąsiadka, przyjaciółka Wanda.

- Tczesz jeszcze ?

- A tkę - tak cicho i dobrze -

- Pomogę Ci. Zobaczyłam u Ciebie światło to i zaszłam. Ja też lubię tkać.

Sąsiadka usiadła przy krosnach. Mignęło czółenko. Skrzyżowały się nici. Pękł sznur idący do ponoży.

- Zwiąż - poprosiła Wanda.

Franusia schyliła się pod krosno i zimny dmuch przeleciał jej po krzyżu: na jednym pedale stała noga ludzka a na drugim kozie kopyt-ko. Szybko związała sznurek i blada wysunęła się spod krosien. Po

chwili sznur pękł ponownie.

- Źle związałaś warknęła niesamowita tkaczka - popraw.

Franusia ujrzała tym razem nogę kozia i psia.

- Coś się psuje - jąkała - już późno. Będzie dosyć na dzisiaj.

- Wiesz co - rzekła wiedźma łagodnie - wszyscy śpią jak zabici. Zrobimy sobie ucztę. Idź do **pkraśnika**, przynieś kielbasę i kawał słoniny, a ja skoczę po wódkę.

- Dobrze - zgodziła się ledwie żywa Franusia.

Gdy wiedźma wyszła, rzuciła się budzić braci, ale ci twardo spali. Szamotała ich, trzęsła, kłuła igłami, rżnęła brzytwą - nic nie pomagało. Zrozumiała, że jest zgubiona. Prędko zarygłowała drzwi i te od sieni związała różańcem, a z sieni do kuchni szkaplerzem. Sama wtuliła się między śpiących braci, głowę nakryła pierzyną. Wkrótce wróciła wiedźma i zaczęła dobijać się do drzwi.

- Otwórz, otwórz - mówię tobie. Poco związałaś drzwi tym łańcuchem. Nie bój się dam radę i z dziką furją starała się drzwi wysadzić.

Franusia poczuła jak włosy jej stają na głowie a ciało pokrywa się zimnym potem. Kurczowo trzymała się ramion braci.

Naraz zerwała się szatańska wichura. Trzeszczały drzwi, dźwięczały szyby w oknach, trząsł się cały dom. Nareszcie drzwi z łoskotem wypadły, a sień napełniła się świstem, hałasem, wy-ciem. Zdawało się, że tysiące nóg wali racicami o podłogę, a szczękające w szale zęby w szale szukają swej ofiary.

- A - wżasnęła wiedźma - na te drzwi nałożyłaś nowe żelazne pęta. Nic ci to nie pomoże. I te potargam i rozewnę.

Straszliwymi uderzeniami i te drzwi chciała wywalić. Szkaplerz trzeszczał. Drzwi w zawiasach skrzypiały. Burza naparła na okna.

- Pod Twoją obronę - drżącymi wargami szeptała na pół przytomna Franusia, gubiąc słowa modlitwy.

Wtem zapiał kur. Rozległo się w sieni dzikie szczekanie

wycie, syk, gwizd - i nagle wszystko ucichło. Za oknami znowu leżała cicha listopadowa noc.

Wraz obudzili się rodzice i bracia i nadziwować się nie mogli słuchając opowiadania struchlałej Franusi.

W sieni zastali nieopisany smród. Na podłodze leżały potrzaskane drzwi, poszarpany różaniec i trupia czaszka.

A Franusia ?

Umarła po roku. Wątroba w niej uschła.

Spisał Kazimierz Omiljanowicz

Weszło dnia 25. 11 1953
2848/53/W401.

ARCHIWUM P.T.L.	
L.P. Nr. 1389	Opis kart: 7239/
Sygn. Działu K.D.	

M o z g u c i o w y d z i a d e k

Do "stryja" J. Piotrowskiego w Magdalenowie należały, oprócz 10 ha ziemi ornej, mszary nad jeziorem Mozguc i przylegające do nich pastwiska. Na pastwiska skracano drogę biegnącą koło cmentarza ścieżką, która wychodziła na polankę przy skrzyżowaniu dróg. Pola "stryja" były odgródzone od polanki i od przechodzącej w wiejską uliczkę drogi wałącym się płotem. Przy skrzyżowaniu dróg stał drewniany pochylony ze starości krzyż, owinięty wianuszkami polnych kwiatów.

U tego "stryja" służyła sierota Marysia. Dziewczyna była ładna, wesoła i rozśpiewana jak skowronek. Lubili ją wszyscy. Bliskość cmentarza spoufalila ją z "umrzykami". A choć wierzyła, że są upiory i wszelkiego rodzaju potępienie co tłuką się w nocy nie bała się ich, wcale, sądząc, że najskuteczniejszą przed nimi obroną jest Krzyż Święty i oddanie się w opiekę Bożej Rodzicielce. Nieraz w nocy przechodziła przez cmentarz ale nigdy żadnego stracha nie widziała. Kpiła też z chłopaków, którym to i owo czasem się przywidywało.

Pewnego wieczora chłopcy, którzy paśli konie przy mszarach nad Mozguciem jakoś długo nie wracali na wieczerzę. Gospodyni zaczęła zrzędzić.

- Biegnij no Marysiu, zawołaj - polecił stryj

Wieczór był cichy, ciepły, majowy. Po mszarach śpiewały skowiki. Marysia szła rażno dróżką na przełaj nucąc pieśń o Filonie. Gdy stanęła na polance ujrzała pod płotem jakąś skuloną postać. Pomyślała, że to któryś z parobczaków przyczał się i chce ją nastraszyć. Podkraǳła się cichcem i zerwała mu czapkę z głowy i uciekła. Chłopców na łąkach już nie zastała - odjechali okreśną drogą do domu. Wróciła. Zamiast czapki trzymała w ręku zaplesniały, płaski grzybek.

Zaledwie usiedli do stołu jak za otwartym oknem rozległ się skrzeczący, starczy głos:

- Oddaj moją czapkę -

Wtedy Marysia opowiedziała o swojej przygodzie. Jeden z chłopaków wyrzucił grzybek za okno:

- Masz dziadu, bierz i wynoś się.

- Nie tyś ją wziął, nie ty masz mi ją oddać - zaskrzeczał stary. Sądząc, że to jakiś wędrowny dziad chłopak wybiegł na podwórko. Pod oknem było cicho i pusto. Ledwie jednak wrócił do izby głos odezwał się znowu:

- Oddaj moją czapkę -

Chłopcy wzięli kije do garści i z Marysią pośrodku wyszli na dziedziniec. Marysia trzymała w ręku zmurszały gałgan. Zobaczyli pod ścianą małego, skulonego dziadka. Gdy Marysia wyciągnęła do niego szmatę, zachrypiał:

- Nie tuś ją wzięła, nie tu ją włożysz -

- A ty cholerny dziadygo - wrzasnęli chłopcy, rzucając się z kijami na włóczęgę. Dziadek zginął - kije uderzyły w próżnię. Strach obleciał wszystkich. A po chwili znowu jęczał pod oknem monotony głos:

- Oddaj moją czapkę...Oddaj moją czapkę...

Przez dwa tygodnie chodził koło domu i jęczał. Dziewczyna wyschła jak wiór. Umilkły piosenki, uciekła wesołość. Nareszcie po odbytej z księdzem proboszczem namdzie postanowiono uczynić zadość wymaganiom dziadygi. Marysia wyspowiadała się i ubrana w białe jak do ślubu suknie udała się nad Mozguć. Towarzyszył jej ksiądz oraz sąsiedzi i przyjaciele. W słoneczny dzień przybyli na polankę nad Mozguciem. Pod płotem siedział skulony Mozguciowy Dziadek. Gdy Marysia zbliżyła się do niego aby pokryć czapką лыsą głowę porwał ją w pół. Rozstąpiła się ziemia i oboje znikli w ciemnej czeluści. Ziemia ich pochłonięła.

Spisał Kazimierz Omiljanowicz